

KRONIKA LWOWSKA.

(Radość kucharek i pokojówek. — Kto odgadnie przyczynę? — Nic z tego. — Cholera i środki antycholeryczne. — Co należy czynić? — Dwa projekty. — Chybione środki. — Dajcież im żyć. — Jeszcze o drożyznie mięsa. — Michalski wrócił. — Czemu się zachwycali warszawiacy i dlaczego odjechali bez pożegnania. — Co jest zdrowsze? — Katastrofa kolejowa. — Komunikaty kolejowe, a komunikaty Filharmonii. — Śmiały abonament, a nieśmiały abonenci. — Zamilezione reduty. — Kto jest filarem? — Pani Bohuss i jej mąż. — Recenzje. — Brak recenzji, a skromność. — Rabunek. — Ogólna wesołość. — Wypuszczeni na wolność. — Szczęście w Galicji. — Zakończenie.)

Już dawno, bardzo dawno, nie widziano kucharek, pokojówek i wszelkich pomywaczek tak szczerze uradowanych i wesołych, jak w tym tygodniu. W każdej kuchni wzorowy porządek, talerze, półmiski i rondle połyskują jak słońce, szyby u okien kuchennych lśnią wspaniałym blaskiem, a twarze wszelkiego gatunku służebnic promieniają jakimś szczęściem!.. Co się stało? Czy wszystkie zamaż powychodziły, czy parlament uchwalił dla nich jakąś regulację płac i emeryturę, czy przyznano im prawo głosowania, czy wszystkie chlebobawczyźnie powymierały, czy szach perski odznaczył je orderami za smaczną kuchnię polską? Nie, nie, — to wszystko byłoby niczem, zerem, głupstwem — radość nie byłaby tak ogólną, powszechną i tak wielką. Nie stroiłyby się i nie czesałyby głów od szeregu tygodni nieczesanych, nie wyglądałyby tak ponętne, te okrutne i piękne nasze nimfy służebne. A więc może u Grunda w Lesienicach przygotowuje się grand-szwenderbal z kotyliem i kwargami? I to nie! A więc co, co przyspieszyło radosne tętno tych gotujących i dywany trzepiących serc? Oto wojsko wróciło z manewrów. Wszystkie nasze Kasie, Franie, Hanie, Heleny, Julki, Nastki, Joasie i jak tam się jeszcze nazywają, wzięły na tę niedzielę nieograniczony urlop i wyszły na spotkanie swoich ukochanych.

Zapomniały biedaczki o świecie bożym, o gliściach w wodociągach lwowskich, o drogiem mięsie, o długach swoich chlebobawców, o zbliżającej się cholery i t. p. sprawach, obchodzących nas w tej chwili tak żywo.

Co do cholery, to gdyby ona wiedziała, ile się u nas o niej mówi i pisze i nie robi, jakie niebezpieczne rzeczy przygotowują się na jej przyjęcie i jak bardzo odgrazamy się jej — z pewnością unikałaby Lwowa. Dość powiedzieć, że na ostatnim posiedzeniu naszej rady miejskiej padł śmiały wniosek, aby nie tylko wybrać specjalną komisję dla zwalczania cholery, ale żeby całą radę miejską przemienić w stałą komisję antycholeryczną! Na szczęście cholera podobno nic o tem wszystkim nie wie i złoży nam wizytę z całą pewnością. Ażebym jednak przysłużyć się naszej radzie miejskiej, tak ubogiej w dobre, a radykalne pomysły, przynosząc dwa antycholeryczne, a niezawodne projekty:

1) Należy dokładnie zbadać i opisać celniejsze ulice Lwowa, które wyliczyłem w poprzedniej mojej kronice (Kazimierzowska, Grodecka, Słoneczna, Szpitalna, całe Żółkiewskie etc.), odfotografować niektóre ciekawsze widoki z tych ulic, odnośną broszurę z ilustracjami przesłać cholery do przestudowania, a można być pewnym, że szanująca się cholera nie zechce z narażeniem swego istnienia i zdrowia wdepnąć do naszego miasta, gdzie mogłaby się nabawić — cholery, wprawdzie może nie ayatyckiej, ale o wiele gorszej, bo lwowskiej.

2) Gdyby jednak, mimo wszelkich przestróg, nieopatrznie wpadła do Lwowa, należy ją wprowadzić do hotelu Żorza. Można być pewnym, że po obejrzeniu rachunku za pierwsze trzy dni, czmychnie ze Lwowa bezpowrotnie.

Wszelkie inne środki zapobiegawcze są chybione, a zamiar oczyszczenia ulic i domów lwowskich można śmiało „włożyć między bajki“. Lwowskie kamienice na tych śmieciach stoją, z nich żyją, ich wonią oddychają i odżywiają się. Spróbujcie usunąć śmiecie, a kamienice zapadną się, mieszkańcy wymrą do jednego, a państwo zbankrutuje z powodu horrendalnych zaległości podatkowych. Dajcie im więc żyć nie zabijając ich!

Zupełnie inaczej ma się rzecz z drożyzną mięsa. Pan prezydent Michalski wrócił już z urlopu, gdzie nie tylko odświeżył się naleźycie, ale zarazem przestudował urządzenie wiedeńskich jatek gminnych, skosztował mięsa wiedeńskiego, a teraz przyjechał do Lwowa i codziennie po południu czytuje w kawiarni amerykańskiej artykuły o drożyznie mięsa, o kłopotach wiceprezydenta Rutowskiego, o głosach opinii i czeka z objęciem rządów miasta, aż się ta hryja skończy. Trzeba było naprawdę tegiej głowy, aby ten cały fortel

z mięsem prowincjonalnem, dla zatkania ust ludności, zostawić innemu Tymczasem rzeźnikom nie podoba się konkurencja mięsa prowincjonalnego i na zgromadzeniach swoich oburzają się na prezydym miasta, doradając mu, jak ma postąpić wobec drożyzny mięsa. To tylko we Lwowie zdarzyć się może...

To też dwaj warszawiacy, którzy przyjechali do Lwowa na samochodzie, kazali sobie dokładnie tę komedję opisać, ażeby nią potem bawili ludzi w Warszawie. Prócz tego, zachwycali się „gmaczem“ dyrekcyi skarbu, którą początkowo wzięli za kryminał. Kiedy im wyjaśniono, że to gmacz, w którym się mieszczą kapitały galicyjskich podatników — odjechali bez pożegnania. Ratusz lwowski, uniwersytet i kilka innych ozdób miasta, chcieli im pokazać, gdy już siedzieli w pudle, ale mieli dość i przyspieszyli kroku. Ulicy Serbskiej także nie widzieli. Pomimo przebycia takiej drogi automobilem, przyjechali zdrowo, a tylko wyjeżdżając ze Lwowa, skarżyli się na zawrót głowy. Wynika stąd jasno, że łatwiej przebyć zdrowo najdłuższą drogę nawet samochodem, niż przeżyć trzy dni we Lwowie...

Doszło do tego, że automobiliści dumni są teraz i z powodu ostatniej katastrofy kolejowej śmieją się serdecznie ze wszystkich urządzeń kolejowych, twierdząc, że jazda samochodem jest o wiele pewniejsza. Bądź co bądź, wypada nam jednak cieszyć się, że podczas tej katastrofy żaden z pasażerów nie zginął. Głównie dlatego, że były to dwa pociągi towarowe. Sama katastrofa była snąć bardzo nieznaczna, skoro dyrekcyja kolejowa rozesłała o niej kilkunastu komunikaty do dzienników.

Natomiast wielkie komunikaty rozesłała tuż agencja koncertowa, nazywająca się jeszcze ciągle, niewiadomo czemu, „Filharmonią lwowską“. Wyliczono tam prawie wszystkich istniejących wirtuozów, a nawet „czyniąc zadość licznym życzeniom melomanów“ — życzeniom nigdy i nigdzie nieobjawionym — ustanowiono abonamentowe karty, swoją drogą bardzo dowcipne, bo mające za zadanie zmusić do chodzenia na koncerty tych wszystkich, którzyby po pierwszym koncercie pożegnali się raz na zawsze z Filharmonią. Można jednak być spokojnym, że nikt nie będzie miał odwagi zaabonować się aż na 25 koncertów, bo nikt nie zechce płacić z góry za pięć lat. Podziwiać tylko tych śpiewaków i pianistów, którym chce się grać lub śpiewać przy akompaniamencie bandy wojskowej. Nic jednak nie wspominają komunikaty te o redutach, które przecież są jedynym dobrym interesem lwowskiej Filharmonii. Ta skromność p. Lityńskiego zasługuje na publiczną pochwałę... A frekwentantki redut są już w obawie... Nie trwóćcie się piękne masie... Raczej nie dotrzyma się zapowiedzianych koncertów, ale reduty będą, będą bez zapowiedzi... A zresztą one są podwaliną muzykalności Lwowa, bo tak: muzykalny Lwów żąda koncertów i nie chodzi na nie, p. Lityński do koncertów dokłada, więc, ażeby móżdż dokładać do koncertów, urządza reduty z milionem atrakcyj i na nich zarabia — ergo reduty są najważniejszym filarem muzykalnego Lwowa... Proszę siadać!..

Za to opera w teatrze miejskim zapowiada się ładnie. Świeżo podpisała kontrakt pani Bohuss-Hellerowa. Przy tej sposobności nie zaniedbał mąż jej, pan Heller, donieść światu, gdzie jeszcze śpiewała i śpiewać ma piękna pani Irena... A więc Medyolan, Madryt, Londyn, proszę na bok! — Paryż i jeszcze dalej, a we Lwowie wystąpi tylko 8 razy, słowami: ośm razy i ani odrobinkę więcej, choćbyście wszyscy stanęli na łysinach, bo zaraz potem idzie prawdopodobnie: Nowy Jork, Budapeszt, Rzym, (uważajcie!) Neapol, Wenecja, Florencia, Chicago, Kalkutta, Bombay... — no, servus!

Że nam jednak p. Heller nie przysłał do kraju i nie ogłasza w tutejszych dziennikach tłumaczonych (bodaj niedosłownie) recenzji zagranicznych dzienników włoskich, angielskich i t. d., to zastanawia tych wszystkich, którzy chcieliby usłyszeć o pięknej ulubienicy Lwowa zdanie, nie męża... zdanie obcych, zdanie recenzentów... Ale skromność nadewszystko, więc nie wywołujmy wilka z lasu...

Poza tem wszystko w porządku. Wprawdzie jakiś tam łobuz dopuścił się śmiałego rabunku w biały dzień, wprawdzie złodzieje kradną, a nożowcy zakłuwają na ulicach ludzi, jak barany, wprawdzie „dyrekcyja polityki“, czy tam dyrekcyja policyi i jej organa dowiadują się o tem wszystkim przy końcu, ale za to w mieście przeważnie wesoło, muzyka „rżnie“ w każdej drugiej kawiarni, tynglowki śpiewają w każdej trzeciej restauracyi, ludziska żenią się w każdym domu.

Nawet aresztowanych fałszerzy banknotów wypuszczono na wolność, gdyż okazało się, że nie oni fałszowali banknoty, a kto inny — oni zaś siedzieli za to, że nie poznali się na fałszyfkatach. Ostatecznie musiało się kogoś zamknąć, więc siedzieli. I dobrze się stało. Gdyby bowiem byli odkryli w kasach swoich fałszywe banknoty bez pomocy policyi, biadaliiby, że tracą tyle pieniędzy. Dziś wypuszczeni na wolność szczęśliwi są i zadowolają już o stratach. I są ludzie, którzy twierdzą, że w Galicji nie można być szczęśliwym...

Na zakończenie wypadałoby mi coś wspomnieć o wyścigach cyklistów na placu powystawowym — bo u nas prócz tego urzęda się ustawicznie wyścigi na ulicach miasta. Na tych pierwszych nie rozumiem się, a drugim przypatruję się codziennie, a często sam zmykam przed rozjuszoną cyklistą, który dziwnym zbiegiem okoliczności wtedy właśnie wjeżdża mi w drogę kiedy chodzę głęboko „zamyślony“ lub zapatrzony w gwiazdy...

Wreszcie krótka dykteryjka, kursująca obecnie po Lwowie — jak to przyrzekłem w poprzedniej pogadance. Przy ulicy Piekarskiej mieszka pewna dowcipna wdówka. Onegdaj przyjęła do służby wiejską, naiwną dziewczynę. Wieczorem już z łóżka zawołała wdówka na służącą:

— Marysiu, przynieś mi tu szklanek wody na zęby.

Marysia wielce się zdziwiła, ale podług rozkazu przyuilo ła wodę. Zdziwienie jej było ogromne, gdy ujrzała, że jej pani istotnie wyjmuję z ust dwie użębione szczęki i wsuwa je do szklanki.

— Podaj jeszcze jedną szklanek — zawołała pani — abym na noc przechowała oko.

Pod Marysią zatrzęsły się kolana, ale pobiegła do kuchni i przyniosła szklanek wody. Pani najspokojniej wyjmuję szklane oko i spuszcza je do szklanki... Gdy wreszcie dowcipna wdówka spostrzegła, że Marysi włosy wstają na głowie, odezwała się do niej, obejmując sobie rękami głowę, jakby ją odśrubować chciała:

— A teraz przynieś mi stołek na głowę...

— Joj! — wrzasła przerażona Marysia, wypadła z mieszkania i nie chciała już wrócić do tej „jakiejs czarownicy, czy co...“

Kleve.

Kącik humorystyczny.

Za kulisami.

Inspicyent (do dyżurnego strażaka): Jeżeliby, co nie daj Boże, która z tancerek stanęła w płomieniach to bezzwłocznie otulić ją mokrym kocem i silnie przycisnąć do siebie!

Strażak (do siebie): Żeby też która chciała choć trochę się zatlić.

W zastępstwie.

Lekarz wojskowy (przy wezwaniu szczepienia ospy): Gdzież to gefrejter Miller?

Gefrejter Szulc: Bez trzy dni na urlopie, ja za niego objąłem wszelkie zajęcia służbowe i mam się też dać i za niego szczepić.

Nie inaczej.

— Od czasu zaręczyn spozieram ze spokojem w życie. Wykluczone odtąd bym jako „stara panna“ sama przesiadywała w domu.

Młoda mężatka: I jako mężatka należy często samej w domu przesiadywać!

Dwuznaczne.

Panienka: Przepraszam, że przy panu tak wygrywam na fortepianie... to moja słaba strona.

Gość: To już słyszałem!

Naocznie.

Dama (niezwykle wydekoltowana) do swego wielbiciela.

— Jakże się panu podobam w mej balowej toalecie?

— Jest pani piękna jak Ewa... w raju.

Chytry.

Terminator: Pan majster się kłania i przysłał nowy tużurek!

— Ależ wszak tu brak dziurek do guzika.

— Majster wieczorem przyjdzie z rachunkiem to pewnie ze sobą przyniesie.

Na dworcu.

Konduktor: Pani woli może damski przedział?

Podróżna (z oburzeniem): Co? Czy już tak staro wyglądam?